

Radio wolności i solidarności

26 czerwca 2012

Niedawno minęła 30. rocznica utworzenia Radia Solidarność i emisji jego pierwszych audycji. Rozgłośnia powstała w mrocznych czasach stanu wojennego, by wspierać walkę z zamordystycznym reżimem, dodawać otuchy, propagować niezależne informacje. To nie tylko historia pełna odwagi i pasji – to także temat wciąż aktualny, bo choć zmieniły się realia polityczne i technologiczne oraz regulacje prawne, to nadal trwa walka o wolne słowo i swobodną myśl, co pokazały choćby protesty w sprawie ACTA. Z okazji 30. rocznicy powstania Radia Solidarność rozmawiamy z Zofią Romaszewską – zasłużoną wieloletnią działaczką opozycji demokratycznej, obrończynią praw człowieka, a obecnie m.in. członkinią Rady Honorowej „Nowego Obywatela”.

KONRAD MALEC: Była Pani razem z mężem, Zbigniewem Romaszewskim, pomysłodawczynią podziemnego Radia Solidarność, które zaczęło nadawać w kwietniu 1982 r. Skąd wziął się pomysł na rozgłośnie?

ZOFIA ROMASZEWSKA: Chcieliśmy po prostu odezwać się do ludności Warszawy, aby wiedziała, że „Solidarność” żyje mimo represji stanu wojennego i zepchnięcia Związku do podziemia. Czuliśmy, że musimy coś zrobić, aby podnieść ducha narodu, poprawić nastroje społeczne. Ludzie łatwo wpadają w pesymizm, a nam chodziło właśnie o to, żeby nie było tak pesymistycznie i ponuro.

Mieliśmy nadajnik zrobiony przez inżyniera Kołyszkę. On z założenia nie miał nadawać audycji, lecz służyć do porozumiewania się między zakładami pracy, to było takie jakby CB-radio. Postanowiliśmy, że pierwszą audycję nadamy, gdy większość milicjantów wyjedzie z Warszawy. Wiadomo było, że tak się stanie, bo stan wojenny był wyczerpujący dla wszystkich, również dla nich. I rzeczywiście, dano im urlopy

na Święta Wielkanocne. W Wielki Piątek rozrzuciliśmy ulotki informujące o Radiu Solidarność, a w Poniedziałek Wielkanocny 12 kwietnia nadaliśmy pierwszą audycję, nie wiedząc, kto nas będzie słuchał, czy w ogóle ktoś nas będzie słyszał, jak daleki mamy zasięg itp. Bardzo szybko zaczęto nas zagłuszać przy pomocy muzyki, którą nazywaliśmy „dyskoteką Kiszczaka”, ale na początku było nas słychać świetnie. Trzeba powiedzieć, że MSW poniosło spore koszty z naszego powodu, bo w pewnym momencie Warszawa była pełna pelengatorów, na wielu domach były instalowane na stałe.

– Jak wyglądała organizacja takiego radia podziemnego?

– Nagrywaliśmy audycje w domu na zwykłym magnetofonie, dopiero później mieliśmy porządniejszy sprzęt. Warunki pracy były prymitywne. Musieliśmy sprzęt trochę obstawić poduszkami, żeby nie było pogłosu. I to było nasze studio. Przy okazji drugiej audycji taśmę skleiliśmy prowizorycznie, w efekcie czego nie wytrzymała i zerwała się w trakcie nadawania. Okoliczności tej audycji były bardzo efektowne, bo Warszawa była cała niebieska od milicyjnych samochodów. Wcześniej milicjanci ustalili mniej więcej przy pomocy pelengatora, skąd możemy nadawać i obstawili dzielnicę. Zajmowali cały kwartał ulic w okolicach Żelaznej Bramy. Gdy taśma się zerwała, ludzie pomyśleli, że nas złapano, i zaczęli z okien zrzucać doniczki na milicjantów. A my byliśmy bezpieczni – nadawaliśmy wtedy i wiele razy później z szybu windy, skąd wystawialiśmy tzw. szczupakówkę, czyli wędkę z anteną. A pierwszą audycję nadawaliśmy z dachu domu na rogu ulic Grójeckiej i Niemcewicza.

– Proszę opowiedzieć trochę o tematyce audycji – o czym mówiliście w „podziemnym eterze”?

– Ja od zawsze zajmowałam się interwencjami na rzecz osób poszkodowanych i represjonowanych, stąd też najbardziej interesowała nas taka tematyka. Kogo posadzili, a kogo wypuścili z więzienia, jak безпеaka czy milicja odnoszą się do

zatrzymanych czy aresztowanych, jak zachowują się klawisze w więzieniach, w jakich warunkach przetrzymywani są nasi koledzy, czy mają dostęp do książek, do opieki medycznej, do mszy św., jak przebiegają widzenia z rodzinami itd., itd. W pierwszej audycji zajęliśmy się sytuacją Stasia Matejczuka. Przedostała się na wolność informacja z Aresztu Śledczego na Rakowieckiej, że był w trakcie przesłuchań bardzo pobity i marnie się czuje. Myśmy tę informację puścili w eter i już po paru dniach w telewizji pokazano naszego kolegę, jak robi pompki, co oczywiście miało świadczyć o tym, że jest zdrow jak rydz. Takich problemów w tym czasie było dużo, więc było o czym mówić.

Radio miało też służyć do informowania o demonstracjach, mszach i wszelakich spotkaniach w zasadzie legalnych, na które chcieliśmy się zwołać.

Koledzy mieli również skłonności do propagowania idei, które uważali za ważne i sądzili, że odbiorcy z przyjemnością posłuchają poglądów podobnych do swoich i że w tych słusznych poglądach się umocnią.

– Kiedy Radio przestało funkcjonować?

– Ostatecznie zakończyliśmy nadawać w 1989 roku. Gdy nas aresztowali, Radiem zajmował się np. Jurek Jastrzębowski, a później już inni koledzy przejęli sprawę. Potem Radio zaczęło oddziaływać nawet poprzez telewizję – umieszczali napisy „Solidarność żyje” czy „Solidarność walczy” w trakcie Dziennika TVP albo np. jakiejś mowy Jaruzelskiego. Niestety, zasięg tych akcji był nieduży – gdy się nadawało z jednego bloku, to docierało tylko do bloków sąsiednich. Inaczej było w przypadku tego małego radyjka, które gdy się umieściło wysoko, na dachu, było słyszalne znacznie dalej.

– Zadziwiające, że pomimo takiego nakładu sił i środków ze strony MSW nie udało im się zlikwidować Radia.

– Mieliśmy bardzo rozdrobnioną strukturę i – poza kilkoma

najbliższymi współpracownikami – nie znaliśmy się nawzajem. Nie kontaktowaliśmy się ze sobą, żeby uniknąć identyfikacji. Kiedy już po 1989 r. spotkaliśmy się, byłam zdziwiona, że było nas aż tylu i z tak różnych miast. Od pewnego momentu Radio niesamowicie się rozprzestrzeniło. Jak stwierdził mój mąż, wszystkie instytuty fizyki, techniczne itp. pracowały, żeby Radio Solidarność mogło grać. Nagle zrobiło się dużo nadajników. Na początku nasze audycje były kopiowane i nadawane w różnych miejscach, np. ktoś jechał do Gdańska albo do Krakowa i tam nadawał. A później te miejsca stawały się kolejnymi ośrodkami Radia i ludzie realizowali już własne pomysły – tak było np. we Wrocławiu czy w Świdniku pod Lublinem i w wielu innych miastach Polski.

Osoby, które wspierały Radio, były niezwykle pomysłowe. Mnie chyba najbardziej zaimponował taki wynalazek, który dostałam już po wyjściu z więzienia. To był mały nadajniczek, ukryty w pudełku po zapalniczkach, którym można było zagłuszać radiowozy milicyjne. Stawało się z takim pudełkiem obok radiowozu-matki, który kontrolował ileś „córek”, i radiowozy natychmiast traciły ze sobą łączność.

– Czy Pani wie, jakich miała odbiorców, kto słuchał Radia Solidarność?

– Na początku słuchała nas Warszawa – i to dość masowo. Koledzy opowiadali nam, że gdy było wiadomo, że ma być audycja Radia Solidarność, to w drukarni, która znajdowała się w Domu Słowa Polskiego, wszyscy pracownicy mieli ze sobą takie małe odbiorniczki. I gdy o godz. 21 rozlegał się sygnał fujarki, rozpoczynający naszą audycję – maszyny stawały, wszyscy zaczęli słuchać. To był niesamowity sukces. Zresztą cała Warszawa wtedy mrugała światłami – umówiliśmy się na taki sygnał, żeby wiedzieć, kto nas odbiera. Gdy zobaczyliśmy te światła po raz pierwszy, to się popłakaliśmy ze wzruszenia.

– A jaki był wymiar „wewnętrzny”, środowiskowy Radia Solidarność?

– Nasze radio było bardzo ważnym sposobem aktywizowania sporej grupy ludzi. Jak już mówiłam, naukowcy wykazywali się niezwykłą pomysłowością, żeby ułatwić nam nadawanie i zwiększyć zasięg audycji. Była to również wspaniała przygoda dla młodzieży. Emiterami najczęściej byli ludzie młodzi i adrenalina dawała całkiem dobrze o sobie znać. Można się było wykazać i sprawdzić, bo pokonało się strach. W trudnych czasach nie jest źle udowodnić sobie, że jest się gotowym dla celów niemerkantylnych poświęcić nawet własną wolność. To była dobra szkoła życia i charakterów.

– Trzy miesiące po tym, jak Radio zaczęło nadawać, została Pani aresztowana i skazana na trzy lata więzienia. Jaka była treść oskarżenia?

– Rzekomo próbowaliśmy obalić siłą ustrój PRL-owski. Natomiast drugi zarzut dotyczył przynależności do zdelegalizowanego związku zawodowego „Solidarność”. Prawdę mówiąc, wtedy nie należałam do „Solidarności”, bo byłam pracownikiem Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”, i w związku z tym uznałam, że nie będę u swojego pracodawcy należeć do jego związku. Ale oczywiście podczas procesu udawałam, że należę [śmiech].

Proces był absurdalny, zarzuty nie miały związku z rzeczywistością. W moim przypadku np. były bardzo wielkie dociekania, czy to jest na pewno mój głos, czy nie. Nasz kolega z Politechniki Wrocławskiej przekonywał podczas procesu, że tego absolutnie nie można ustalić, stwierdził również, że on w nagraniu wyraźnie rozpoznaje akcent środkowopolski czy kielecki [śmiech]. W ogóle to był niezły spektakl.

– Radio Solidarność – obok innych mediów podziemnych – można by uznać za specyficznego prekursora dziennikarstwa obywatelskiego w Polsce. Interesowała się nim nie tylko nasza Służba Bezpieczeństwa, ale też enerdowska Stasi, czyli system wyraźnie się go obawiał. Jak Pani ocenia wpływ dzisiejszych

mediów oddolnych na to, co się dzieje w Polsce? Czy mamy jakiś wpływ, czy to tylko „robotą głupiego”?

– Nam się wtedy również wydawało, że to, co robimy, to jest zdecydowanie „robotą głupiego” i teraz też może się wydawać, że aktywność mediów oddolnych jest czymś podobnym. Ten, kto się tym zajmuje, ma wrażenie, że jego działanie nie ma żadnego znaczenia. Człowiek się nafatyguje, napracuje, jest strasznie zmęczony, a efektów swojej pracy nie widzi, bo to widać dopiero po latach. A potem to już w zasadzie nie wiadomo, czy te zmiany nastąpiły dzięki działaniom państwa, czy kogoś innego. Jednak to nigdy nie jest tak do końca. Jeżeli podobnych inicjatyw jest wystarczająco dużo, wtedy miara się przebiera – i wówczas następują zmiany. Natomiast dopóki nie ma tej „masy krytycznej”, to można odnieść wrażenie, że nic się nie dzieje, że to jest taka właśnie „robotą głupiego”. Ale małe kroki mogą prowadzić do wielkich przemian. Kiedy my funkcjonowaliśmy, też mieliśmy wątpliwości i też nas dopadało poczucie beznadziei. Nie jest łatwo nakłonić obywateli do zmian, musi się ta „masa krytyczna” z jakiegoś powodu, czasem trudno powiedzieć z jakiego, uformować.

– A jak ocenia Pani z perspektywy własnych doświadczeń kondycję dzisiejszych mediów oddolnych, obywatelskich? Wiadomo, że pojawiły się nowe możliwości, przede wszystkim Internet.

– Internet jest rzeczą fascynującą i świetną, ale stanowi też w pewnym stopniu śmietnik. Dlatego zasadniczą sprawą jest, żeby nasze dzieci i wnuki nauczono myśleć, a współczesna szkoła – nie tylko u nas, ale i na świecie – tego nie uczy. Obecnie uczy się pewnego sposobu reagowania na określone hasła: hasło-odzew, hasło-odzew, jak w wojsku. I to powoduje, że media oddolne ze swoimi przekazami spotykają się z niezrozumieniem. Mimo że się używa słów prostych, mimo że się mówi o oczywistościach. Szkoła uczy bezmyślności – to po pierwsze. A po drugie – dzisiaj liczy się indywidualizm, a nie solidarność z innymi. Nie tworzymy grup ani społeczności,

niszczymy poczucie tożsamości narodowych, wyznaniowych, ideowych itp. Żeby łatwiej było nami rządzić, społeczeństwo jest ogłupiane, a wspólnoty – likwidowane.

– **Dziękuję za rozmowę.**

Z Zofią Romaszewską rozmawiał Konrad Malec

Źródło: [Nowy Obywatel](#)

NOTA BIOGRAFICZNA

Zofia Romaszewska (ur. 1940) – ukończyła fizykę na Uniwersytecie Warszawskim (1963). W 1967 r., razem z mężem Zbigniewem Romaszewskim zbierała podpisy pod petycją w obronie Adama Michnika. Od 1976 r. członkini Komitetu Obrony Robotników, organizatorka pomocy dla robotników represjonowanych w Ursusie i Radomiu, od 1977 r. kierownik Biura Interwencyjnego KSS „KOR”, redaktor działu „Praworządność” w „Biuletynie Informacyjnym” KSS „KOR”. W latach 1980-81 członkini Komisji Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność”. Po 13 grudnia 1981 działaczka struktur podziemnych „Solidarności”, w 1982 r. współorganizatorka Radia Solidarność. Aresztowana 5 lipca 1982, skazana w lutym 1983 w procesie Radia Solidarność na 3 lata więzienia; osadzona w Centralnym Areszcie Śledczym w Warszawie, podjęła głodówkę protestacyjną. W maju 1983 r. autorka Listu otwartego o sytuacji aresztowanych w CAŚ Warszawa Mokotów, skierowanego do Sejmu PRL. Zwolniona na mocy amnestii w lipcu 1983. W 1985 r. wraz z mężem założycielka Polskiego Funduszu Praworządności, 1986-89 członkini jawnej Komisji Interwencji i Praworządności „Solidarności”. W 1987 r. laureatka Nagrody Praw Człowieka Fundacji „Aurora” przy Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii. W sierpniu 1988 r. współorganizatorka I Międzynarodowej Konferencji Praw Człowieka w podkrakowskich Mistrzejowicach. W latach 1989-94 dyrektor Biura Interwencji Kancelarii Senatu, w latach 1991-93 sędzia Trybunału Stanu. Od 2002 r. na rencie, wciąż zajmuje się działalnością społeczną. W 2006 r. odznaczona przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Wielkim

Orderu Odrodzenia Polski. Od 2007 członek Kapituły Orderu Odrodzenia Polski. W 2008 została Kanclerzem tejże Kapituły. W 2011 r. weszła w skład Rady Stowarzyszenia Solidarni 2010. Członkini Rady Honorowej „Nowego Obywatela”.